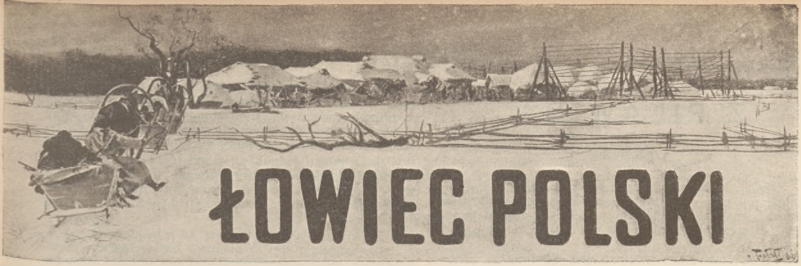


ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 150.

№ 6. | Warszawa, 16 (31) marca 1905 r. | Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Wiosna.

Z PILAWINA.

(Dokończenie).

Będąc kilka razy w tym roku w Piszczowie, spędzałem dni całe w Pilawinie z lornetką i aparatem fotograficznym, a czytelnik pojmie, z jaką ciekawością i interesem śledziłem za zwierzyną i jej sposobem życia.

Otóż charakterystycznem jest kompletne odosobnienie poszczególnych gatunków jeleni między sobą; nigdy nie spotkasz marala w stadku wapitich, żaden wapiti nie zbliży się do łani maralki, a Dybowskie nawet nie zachodzą do miejscowości, gdzie zwyczaj nie trzymają się inne jelenie. To samo podczas rui. Panuje w tym względzie najformalniejsza odrębność „towarzystw", kompletna obojętność i brak kokieteryi w obu rodzajach płci między jednym gatunkiem a drugim. Gajowi opowiadają, że raz jeden spotkał się na polance potężny byk, maral, z amerykańskim wapiti i bez wyraźnego powodu rzucili się obaj ku sobie i wszczęli bój, Bogu dzięki, bez szwanku dla siebie; pyszny i jedyny, w ścisłem tego słowa znaczeniu, musiał to być widok!

O łosiach, które pierwotnie stanowiły podstawę i główny cel założenia Pilawina, wspomniałem wyżej, że dwie klępy obdarzyły nas zdrowym i tęgim przychówkiem.

Stan łosi pomnożył się w roku ubiegłym znacznie przez łaskawe ofiary hr. Konstantego Potockiego, ks. Ferdynanda Radziwiłła i nieodżałowanej pamięci mego Teścia, ś. p. ks. Antoniego Radziwiłła, z których pierwszy aż pięć sztuk ze swych lasów Rzepichowskich, drugi jedną klępę z lasów ordynacyi Ołyckiej, trzeci zaś dwie sztuki z Dawidgródka podarować mi raczył. Z ostatnich zginęła jedna sztuka w drodze, tak, że razem siedm sztuk młodych łosi w roku bieżącym do Pilawina przybyło. Trzymano je na koziem mleku do sierpnia w małej zagrodzie, potem zagrodę otworzono i stopniowo przyzwyczajono je do swobody, a gdy ostatni raz w listopadzie byłem w Pilawinie, cała młodzież łosia już swobodnie buszowała po całym obszarze zwierzyńca.

Jest to, o ile mnie doświadczenie nauczyło, najlepszy sposób wychowania i aklimatyzacyi wszelakiego rodzaju zwierzyny, t. j. od początku nie krępować jej zbytecznie, i dbając o zdrowy i odpowiedni karm, dawać jaknajwięcej swobody ruchów.

Stosunkowo jednak z łosiami idzie nam najgorzej; najwięcej ubytku wykazuje właśnie ten rodzaj zwierzyny i niedawno, bo temu parę tygodni, otrzymałem znowu smutny raport o zginięciu dwóch sztuk wyrosłych rogaczów.

Dziwnem zjawiskiem jest, że właśnie łosie, które dziko znajdują się o miedzę, bo w lasach Emilczyńskich, zaledwie o kilkadziesiąt wiorst od Piszczowa odległych, w warunkach klimatu i paszy zupełnie identycznych z temi, jakie mają w Pilawinie, w porównaniu z dzikiemi swemi ostojami, najtrudniej się dają wyhodować i utrzymać. Dodać muszę, iż niema roku, aby dziki łoś o letniej porze nie zawitał, choć na parę dni, z okolicznych lasów poleskich do moich rewirów Piszczowskich.

Powód upadku obu sztuk, powyżej wzmiankowanych, nie został skonstatowany i sekcya nie wykazała żadnej choroby organicznej. Zdawałoby się to potwierdzać tylko ustalone mniemanie, że łosi w niewoli chować nie można, a w każdym razie bardzo trudno, i przypuszczam, że w innych warunkach, niż właśnie w tych, jakie Pilawin im daje, byłoby to wręcz niemożliwem.

Z ogólnej ilości łosi, pojedyńcze byki, szczególnie jeden z Oranienbauma, z pod Petersburga, sprowadzony — wyrosły potężnie i odznaczają się silnym wyglądem i pięknemi rogami. Łosie nie boją się zbytnio ludzi, najdziksze są klępy z tegorocznym przychówkiem.

Wyliczając różne rodzaje zwierzyny w Pilawinie, nie mogę nie wspomnieć o sarnach sybirskich (Pygargus uralensis), przywiezionych w roku zeszłym z nad Jenisseju przez p. Sokalskiego, z których koza, niestety, zginęła, dwa rogacze zaś puszczone na wolność, trzymają się znakomicie i przystały zupełnie do małej gromadki sarn zwyczajnych, które przy zamykaniu zwierzyńca zostały wgrodzone do jego obrębu.

Widziałem w sierpniu oba kozły, uganiające się za kozami, jest więc nadzieja poprawy rasy miejscowej przez sybirskich przybyszów.

PODWIĄZKA.

(Przygoda myśliwska).

Wszyscy się dziwią, dlaczego utrzymuję psa starego, do niczego, który jest właściwie na „łaskawym chlebie". A przecież przyczyna jest bardzo prosta. Oto ten emeryt czworonożny dopomógł mi — wprawdzie tylko pośrednio — wystarać się o moją żonkę kochaną.

Jak to się odbyło, opowiem chętnie. Jest to niezwykła, a jednak prawdziwa historya.

Będzie temu z ośm lat, gdy w czasie polowania na foki nad morzem poznałem bardzo uprzejmego, starszego pana, który mi się przedstawił, jako właściciel rozległych dóbr ziemskich. Polowaliśmy wspólnie, gawędziliśmy i... piliśmy, a przy rozstaniu otrzymałem zaproszenie do tych dóbr, gdzie mieliśmy urządzić polowanie na kozły. Znajomy mój nalegał tak uparcie, że musiałem przyrzec uroczyście, iż przybędę na to polowanie. Przez jakiś czas korespondowaliśmy jeszcze z sobą, a gdy następnej wiosny nadeszło powtórne zaproszenie w najuprzejmiejszych wyrazach, postarałem się o urlop na Zielone Świątki i pojechałem wreszcie.

Gdy przybyłem po południu na stacyę kolejową, odległą o jaką godzinę drogi od majątku, czekał tu już na mnie bardzo elegancki brek myśliwski, przyczem stangret oznajmił mi na wstępie, że, o ile pragnę, mogę odrazu objechać cały rewir myśliwski i zbadać zwierzostan miejscowy. Zgodziłem się oczywiście na to bardzo chętnie. Mój *Tell*, który miał wtedy dwa lata, towarzyszył mi w podróży, jak wszędzie zresztą. *Tell* był też nieporównanym aporterem przedmiotów zgubionych. Wynajdywał i przynosił wszystko, nietylko kury zbarczone i zadraśnięte zające, lecz także wszelkie inne przedmioty, które mu się wydawały godnemi podniesienia.

Objeżdżaliśmy tedy trochę tak sobie, dla rozrywki, różne okolice leśne, a w końcu zapragnąłem też popróbować strzału i wysiadłem z breku.

Ponieważ stangret wskazał mi dokładnie drogę, prowadzącą do dworu, przeto bez obawy zabłądzenia, oddaliłem się spory kawał od breku. Ale sarny nawet śladu nie widać było nigdzie!

Nagle usłyszałem śmiech wesoły, a wyszedłszy na polankę leśną, ujrzałem dwie smukłe sarenki w postaci dwu pań młodych, które brodziły bosemi nóżkami i z zakasanemi spódniczkami pluskały się w płynącym tutaj strumyku leśnym.

Stanąłem, jak wryty na miejscu, ale mój *Tell* był nazbyt ciekawy... One popatrzyły chwilę na niego i na mnie, poczem z okrzykiem umknęły szybko, jak zające. Zdążyły jednak zabrać z sobą buciki i pończochy. Ja nie wiedziałem, co począć. Może pogonić za niemi, żeby je uspokoić, a może oddalić się

Bilans zwierzyny obcej, znajdującej się w Pilawinie w grudniu r. z., wynosi zatem sztuk z górą czterdzieści (prócz sarn zwykłych), z których połowa przypada na łosie, reszta na jelenie czworakiego gatunku i dwa rogacze syberyjskie.

W samym zwierzyńcu postępują całą forsą dalsze roboty około jego uporządkowania. Rozszerzanie sieci dróg podjazdowych, powiększanie dawnych i tworzenie nowych pól karmowych, t. zw. „Wildacker", oczyszczanie haław i polanek leśnych, budowa nowych gajówek i t. p., oto zadanie miejscowego personelu służby leśnej, który pracuje bezustannie nad wprowadzeniem nowych porządków.

Zwiedzając w maju r. z., dzięki łaskawej uprzejmości hr. Władysława Wielopolskiego, wspaniałe rewiry Cesarskiego polowania w Spale, nauczyłem się niemało szczegółów, dotyczących specyalnie zakładadania i obsiewu pól karmowych wśród lasu, tych nieodzownych warunków dla hodowli wszelkiego rodzaju jeleni.

Zdaje mi się, że Spała pod tym względem prym trzyma wśród rewirów europejskich, posiadając ni mniej, ni więcej, jak 3.000 morgów obsianych pól dla zwierzyny w obrębie 60,000 morgów swej zawartości, t. j. $^1/_{20}$ część całego obszaru. Pragnąłbym dojść do tego samego stanu, naturalnie minus jedno zero u końca powyższych cyfr i uważam ten stosunek obszaru jako nader racyonalny i dla zwierzyny korzystny.

Szereg lat jeszcze upłynie, zanim sztuciec zastąpi w Pilawinie lornetkę i aparat fotograficzny w rękach myśliwego, sądzę jednak, że próba się udała i zwierzyniec rozwinąć się może, wykazując z czasem ciekawe rezultaty hodowli i aklimatyzacyi egzotycznej zwierzyny w naszym kraju.

Prócz do lisów szkodników i ptactwa drapieżnego, mało padło strzałów w Pilawinie do zwierzyny w ciągu roku ubiegłego. Moja żona ubiła rogacza (zwyczajnego) podczas przejażdżki po lesie, a ja zabiłem głuszca w czasie toków wiosennych, których barwny opis zdolnego pióra hr. Antoniego K. Wodzickiego umieszczony był w uprzednich numerach „Łowca Polskiego". Obecność tego królewskiego ptaka w dzikim stanie w obrębie Pilawina i istne gody myśliwskie w czasie toków wiosennych, tak ulubione dla serca każdego prawego myśliwego, niemało dodają uroku temu kawałkowi lasu, gdzie, siedząc na wieczornym zapadzie, wśród pysznego otoczenia prastarych sosen i dębów, widzisz nagle łosia, sunącego zwolna z ciemnej kniei do mchem porosłego błotka poleskiego, lub potężnego byka wapiti, albo dziwną sylwetkę jelenia „Dybowskii", tego mieszkańca najdalszego Wschodu z nad brzegów Amuru i Oceanu Spokojnego.

Na zakończenie niniejszej notatki wspomnę jeszcze o jednym mieszkańcu Pilawina, a mianowicie o niedźwiedziu malajskim (Ursus malayanus), pochodzącym z półwyspu Malajskiego, darowanym mi w lecie roku ubiegłego w miejsce litewskiego mysia, którego miałem dotąd i który zginął z niewiadomej przyczyny.

Pocieszny niedźwiadek malajski o ruchach małpich i wyglądzie jakby psa dużego, odgrywa rolę stróża przy bramie wjazdowej do Pilawina, którego wrota radbym otworzyć dla niejednego z grona naszych myśliwych i przyrodników, żądnych i ciekawych oglądnąć na miejscu, pierwsze, o ile mi się zdaje, próby w naszym kraju aklimatyzacyi obcej fauny na rodzinnej ziemi naszej.

Józef hr. Potocki.

Rośliny okopowe.

Zaledwie skończyły się kłopoty hodowcy z tegorocznem dokarmianiem zwierzyny w rejonach łowieckich, a już nadchodzi wiosna i nieodłączne z nią krzątanie się z poczynieniem zapasów na nadejść mającą zimę. Nie od rzeczy zatem będzie, przed rozpoczęciem tych zabiegów, wspomnieć o roślinach okopowych, które w sprawie odżywiania odgrywają niezmiernie ważną rolę, a to z tej racyi, że obok części stałych—potażu, cukru i krochmalu, zawierają jeszcze związki azotowe, czyli t. zw. proteiny, stanowiące najważniejszy czynnik odżywiania, stąd też należy im się w gospodarce łowieckiej wcale poczesne miejsce.

Do celów łowieckich nadają się najlepiej pastewne odmiany marchwi i buraków, kartofle, a obok nich kapusta i jarmuż.

---

stąd dyskretnie? Gdym się tak jeszcze zastanawiał, *Tell* przyniósł mi niespodziewanie coś czerwonego z błyszczącą sprzączką,—podwiązkę!

Zostawiły ją w pośpiesznej ucieczce, a pies, znalazłszy ten przedmiot, przyaportował go czem prędzej.

Czyją jest własnością, blondynki, czy brunetki? Myśląc o tem, wsunąłem *corpus delicti* do prawej, bocznej kieszeni kurtki. Po bezskutecznem uganianiu się za zwierzyną, zaszedłem przed wieczorem do dworu, gdzie doznałem jaknajserdeczniejszego przyjęcia i byłem przedstawiony paniom. Lecz na Dyanę! A toć były to właśnie owe dwie smukłe sarenki z lasu, które zaskoczyłem nagle przy kuracyi Kneippa. Ela, bruneta, okazała się córką pana domu; a Klara, blondyna, była jej przyjaciółką, chwilowo bawiącą w tych dobrach.

Ukłoniłem się naturalnie bardzo grzecznie, udając naiwnego, ale dziewczęta widocznie podejrzewały jakieś podejście. W każdym razie oddaliły się niezwłocznie i weszły do swoich pokojów.

Upłynęły dwa dni. Nie zdołałem jeszcze nic ubić. Powracałem właśnie z polowania porannego, które było również bezskuteczne, gdy przypadkiem ujrzałem Elę, brunetkę, w ogrodzie. O podwiązce już dawno zapomniałem.

Zaczęliśmy gawędzić, spacerując po ogrodzie, a mój *Tell* szedł za nami posłusznie, jak zawsze.

Nagle zjawiła się osa w niebezpiecznem sąsiedztwie twarzyczki Eli. Wyrwałem prędko chusteczkę z kieszeni, żeby odpędzić nieproszonego gościa, przytem jednak wyleciało na ziemię coś czerwonego, zatoczywszy wysoki łuk w powietrzu. Zgubiona podwiązka! Jako człowiek zwykle wstrzemięźliwy, który ma tylko jedną namiętność—polowanie, zupełnie zapomniałem o tej zgubie. Chciałem teraz udawać obojętność, jakby się nic nie stało, ale *Tell* był innego zdania. W oka mgnieniu aportował czerwoną podwiązkę. Usiadł potem prawidłowo i czekał na to, żeby odeń przyjąć rzecz przyniesioną. Spojrzałem na Elę. Wyglądała, jak odrętwiała, a twarzyczka mieniła jej się raz na czerwono, raz blado. Zniknęła po chwili, zanim zdążyłem wyrzec słowo na swe usprawiedliwienie.

W zamyśleniu wsunąłem znowu podwiązkę do kieszeni, zastanawiając się, co mi czynić wypada teraz. Ela uważa niewątpliwie całe to zajście za żart niesmaczny i jest obrażona. Tyle jednak przynajmniej skorzystałem, że teraz wiem, czyja jest podwiązka. Ale co ja tu zawiniłem? Czy to moja wina, że ona gubi podobne rzeczy! A wreszcie nie powinna była w każdym razie postąpić tak niedołężnie i uciec. To mnie właściwie najwięcej gniewało. Przecież Ela jest wogóle dziewczę o rozsądnych poglądach.

Tego dnia miałem przynajmniej pewne pocieszezenie. Dyana znała jedynie moje serce niewinne i wynagrodziła mnie za to hojnie. O zachodzie słońca ubiłem kozła kapitalnego na samej granicy, na którego czyhaliśmy już dawno. W wielkiej radości

Uprawa ziemi pod okopowe, jest tak powszechnie znaną, że nie będę się o niej rozpisywał szczegółowo, a wspomnę tylko w rodzaju przypomnienia, że rośliny bulwiaste udają się wogóle lepiej na dwuletniej (t. j. w rok po wygnojeniu mierzwie, wymagają też głębszej orki, jak oziminy i wogóle zboże trawiaste, kapusta zaś i jarmuż lepiej rosną na wilgotnem położeniu i na świeżej, końskiej mierzwie.

Z odmian marchwi pastewnej najwydatniejszą jest „biała Kriweńska", około dwu i pół cali nad ziemią rosnąca; również dobre, choć mniej plenne są: „Wogeska biała" do zalecenia na ziemie mało przepuszczalne, „Sudenburska", czerwona, gruba, zagranicą bardzo zalecana, oraz „Olbrzymia biała" z zieloną główką, najpowszechniej u nas uprawiana.

Marchew i równoznaczny pasternak wysiewa się wcześnie na wiosnę na wyoranych redlinach, poczem opiela się ją w miarę potrzeby z chwastów i powtórnie obsypuje, spulchniając ziemię w redlinach, jeżeli tego zachodzi potrzeba na ziemiach ciężkich.

Z buraków najlepszemi są „Ekendorfskie" oryginalne, zapewniające najwyższe zbiory i łączące w sobie możliwie wszystkie zalety, osiągnięte przez staranną selekcyę okazów nasiennych i właściwą uprawę; pozatem dobre są buraki „Mammuth", długie, czerwone, w połowie nad ziemią rosnące, oraz „Oberndorfskie", wielkie, żółte, zalecające się szczególniej do flancowania.

Buraki sadzić najlepiej po dobrem namoczeniu i napęcznieniu ziarn, — również na wyorane redliny (wałki ziemi, wysypane obredlaczem w odstępach 8 — 12 cali), ale nieco później od marchwi, bo już w wygrzaną ziemię, poczem po wzejściu roślinek w miarę potrzeby opiela się je z chwastów i co 2 lub 3 tygodnie dwu — lub trzykrotnie obsypuje się je ziemią, jak kartofle, spulchniając ziemię.

Kartofle, rozpowszechnione u nas w licznych, mniej lub więcej wyrodzonych odmianach, bliższego omówienia nie potrzebują, dla porządku jednak wspomnę o odmianie, którą na swej leśnej „osadzie" wypróbowałem, a która posiada wszelkie zalety smacznego, mączystego i wysoce plennego kartofla, a jest nią odmiana „prof. Maercker", zalecająca się (na grunta lepsze, gliniasto piaszczyste) swą wysoką odpornością na suszę, na grunta zaś lżejsze, piaszczyste, odmiana „Early Rose", podlegająca jednak zarazie kartoflowej w latach mokrych. Pozatem byłyby do zalecenia: „Hetman" na grunta średnio wilgotne, „Viola" jako pod względem gruntu i kultury mniej wymagająca, oraz „Blanc Riesen" jako odmiana wyłącznie pastewna, wielkie ilości wody absorbująca zatem do zalecenia na niziny, znaczny stopień wilgotności posiadające, gdzie inne odmiany chorują lub wcale się nie udają.

Kapusta, obok znanych odmian stołowych, nadaje się najlepiej do celów łowieckich w odmianach pastewnych, wyrasta bowiem w wysokie rośliny i przetrzymuje na polu mrozy do 12 – 14 stopni bez jakiejkolwiek osłony. W handlu do nabycia w dwu odmianach, pod nazwą „pastewnej, olbrzymiej, drzewiastej, zielonej" i „niebieskiej olbrzymiej" — wyrastającej w 4—6 stopowe rośliny.

Jarmuż, wybredniejszy co do siedliska, sprzedawany w handlu w dwu odmianach, pod nazwą „kędzierzawy zielony" i „kędzierzawy brunatny" (obie odmiany zimowe — jest zarazem chętniej spasany przez zwierzynę, aniżeli kapusta, na mrozy jednak mniej od tej ostatniej wytrzymały. Wraz z kapustami, o ile niema możności plantowania ich oddzielnie, nadaje się szczególnie do obsadzania szkółek leśnych w celach ochrony siewek od szkód zajęczych. W każdym razie kapusta i jarmuż, zapewniające w ciągu zimy zieloną paszę na pniu, na jaknajszerszą uprawę, obok ozimin, zasługują.

K. Satkowski.

(Dok. nast.).

W sprawie sztucerów.

W celu rehabilitowania nowych sztucerów do ładunków o kuli opancerzonej i prochu bezdymnym, a w szczególności sztucerów niemieckich kal. 10,75 mm., których zalety balistyczne zostały zakwestyonowane przez p. Konczewskiego w Nr. 24 „Łowca Polskiego" 1904 r. w artykule „Nieco o ekspresach nowych i dawniejszych" — proszę o zamieszczenie w piśmie tych kilku moich uwag.

---

z powodu wspaniałych rogów, zapomniałem zupełnie o nieprzyjemnem zdarzeniu przedpołudniowem. Panie nie pokazywały się ciągle.

Nazajutrz rano, w niedzielę, jasnowłosa Klara miała zapłakane oczy, a brunetka, Ela, wyglądała tak że nieszczególnie. Wogóle nastrój poranny był jakiś nieprzyjemny. Czego właściwie chcą te panny!

Po obiedzie zjechali się goście w odwiedziny; raczono się obficie, były różne napoje, dużo śmiechu i graliśmy w krokieta. Ela unikała mnie demonstracyjnie. Przy kolacyi pijąc perlistego szampana, wyróżniono mnie toastem z okazyi pomyślnego strzału; wszyscy też oglądali i podziwiali moje trofeum. Powstawszy od stołu, towarzystwo rozproszyło się po różnych kątach ogrodu, oświetlonego różnokolorowemi lampionami. Wieczór był przecudnie piękny, bzy pachniały, a chłód po gorącym dniu witaliśmy z prawdziwą rozkoszą.

Byłem wesoły, ożywiony winem i towarzystwem, a gdym teraz ujrzał Elę, wziąłem na odwagę i po chwili obok niej stanąłem. Chciała mnie wyminąć, ale nie dopuściłem do tego. Opowiedziałem jej wszystko. Ale doznałem przytem dziwnego uczucia. Twarzyczka jej miła promieniała niespodziewanie radością, po chwili odezwała się filuternie z uśmiechem:

— Ale historya ta zostanie między nami, nieprawdaż?

Podaliśmy sobie na to ręce, a ja ściskałem jej łapkę malutką nieco dłużej, niż to było właściwie potrzebne. Tak, widocznie wino i... miłość poskutkowały.

Co było dalej, łatwo się domyśleć. Odtąd Ela zaczęła się mną interesować, ja zaś mniej dbać zacząłem o kozły, myśląc tylko o jednej mojej sarence. Po ośmiu dniach otrzymałem pierwszy pocałunek.

Ale na tem nie koniec. Teraz następuje rzecz najzabawniejsza. Podczas miodowego tygodnia prześliczna żonka moja uczyniła następujące wyznanie:

— Wiesz—rzekła z uśmiechem filuternym— czerwona podwiązka wcale do mnie nie należy, lecz do mojej przyjaciółki, Klary. Myślałam, że przechowywałeś ten przedmiot, jako klejnot drogi, że go nosiłeś ciągle przy sobie. Wierzyłam, że kochasz się nie we mnie, lecz w Klarze. Prawda, że byłam nierozsądna? Ale już wtedy mi się podobałeś, a przez ciebie zrobiłam swej przyjaciółce scenę w ostatnim gniewie. Ale później za to przeprosiłam szczerze tę dobrą dziewczynę!

Byłem trochę niemile dotknięty tą niespodzianką. Ale w końcu pomyśleliśmy, że to ostatecznie wszystko jedno, czyja to była podwiązka. W każdym razie *Tell* zasłużył na to, żeby do końca najdłuższego życia miał u nas zapewnioną emeryturę.

P. K. twierdząc, iż ekspres kal. 577 znacznie przewyższa nowy sztucer Barelli kal. 10,75 mm., opiera swój wniosek na stosunku żywych sił obu rodzajów broni. Jakkolwiek żywa siła ekspresu kal. 577 może (na pewnej odległości) przewyższać siłę nowego sztucera kal. 10,75 mm., jednakże siła ta, sama przez się nie stanowi jeszcze o zdolności penetracyjnej pocisku; ta znów zdolność jest w stosunku odwrotnym do powierzchni kalibru (koła w przecięciu), czyli kula mniejszego kalibru posiada większą zdolność penetracyjną. Zdolność zaś głębszego przenikania, obok własności deformacyjnej (ekspresowej) pocisku, daje dopiero miarę jego siły balistycznej, czyli intensywności porażenia w znaczeniu myśliwskiem.

Praktycznie następujący przykład może ilustrować to prawo balistyki: ciężar 8-iu kilogramów wagi, kształtu kuli sztucerowej, spadając z pewnej wysokości na 3-calową deskę z szybkością 30 metrów na sekundę, rozwija żywą siłę, równą mniej więcej sile kuli przeciętnego sztucera; deski tej jednakże ten pocisk nie przebije, podczas gdy kula to bez wątpienia uczyni.

Więc i pod tym względem ekspres kal. 10.75 mm. jako posiadający znacznie mniejszy kaliber (w stosunku $10{,}75^2$ do $14{,}66^2$), nie ustąpi ekspres. kal. 577; mniejsza żywa siła pierwszego równoważy się mniejszym jego kalibrem, a zatem większą penetracyą.

Kule karabinów wojskowych, pomimo ogromnej ich siły perkusyjnej, niezdatne są do celów myśliwskich, ponieważ nie ulegają one wcale deformacyi i wskutek tego nie mogą zadać należytego porażenia w bardziej odpornych organach ciała.

Pod każdym innym względem przewaga — stanowcza i ogromna—jest po stronie sztucera kalibru 10,75 mm. Ekspresy kal. 577, posługujące się wielkiemi nabojami czarnego prochu, są przedewszystkiem zbyt ciężkie, a waga sztucera p. K., 9½ funtów, którą właściciel nazywa zwyczajną, jest wyjątkowo mała. Normalnie waga tych sztucerów przenosi 11 f.*).

Oprócz tej nadmiernej wagi, niedostateczna na dalszą metę celność, ogromne, a bolesne oddanie, obfitość dymu, a ztąd (jako też wskutek gwałtownego wstrząśnienia) niemożliwość szybkiego dublowania, czynią tę broń, wobec nowych sztucerów, w Europie przynajmniej, zupełnie zbyteczną i już niejako „archaiczną".

Sztucer natomiast Barelli ma niespełna 8 funtów wagi i pomimo to w użyciu, skutków oddania po 20-u strzałach z rzędu nie odczuwa się wcale; siła zaś penetracyi jest tak wielka, iż na 20 m. odległości kula przebija miedzianą płytę 7 mm. grubości i oprócz tego 4-calową, suchą deskę sosnową, lub takiż pień 12-calowy. Wprawdzie sztucery Hollanda kal. 450 do prochu bezdymnego przebijają $^{9}/_{16}$ calową, stalową płytę, lecz te mają kule całkowicie okryte powłoką niklową i przy strzale nie ulegają prawie deformacyi, gdy znów obnażona kula kal. 10,75 mm. płaszczy się przy uderzeniu o twardy metal i w płycie miedzianej wierci geometrycznie prawidłowy, okrągły otwór o średnicy 15 mm.

Jakkolwiek spostrzeżenia p. K. w artykule „Nieco o ekspresach" wykazują znajomość przedmiotu i doświadczenie autora, zdaje mi się jednak, iż mylnem jest twierdzenie sz. autora, że 10,75 milimetrowy ładunek do sztucera Barelli zawiera 3 gr. bezdymnego prochu. Być może, iż p. K., polegając na ogłoszeniach cenników, polecających 3-gramowe ładunki do sztucerów 450 kal., nie sprawdzał wagi prochu**).

*) Znany myśliwiec i podróżnik francuski, Ed. Foà w swych wyprawach myśliwskich w Afryce południowej używał ekspresu kal. 577, wagi 4,8 kilogr. (12 funtów) i 5,03 kilogr. (12,5 f.). („Chasses aux grands fauves" p. 3). Firma Holland and Holland w Londynie wyrabia te sztucery wagi 11,5 do 12 funtów angielskich, czyli przeszło 12,5 do 13 funtów naszej wagi. Westley Richards— 11,5 f. ang.

**) Przypuszczenie to stawiam wobec faktu: jeden z tych magazynów przysłał mi właśnie gilzę i kulę do takiego sztucera 450 kal.; ładunek prochu ma być 3-gramowy. Jest to jednak ładunek Utendorffera kal. 10,75 mm. (ang. 420) i gilza ta 3 gramów prochu zmieścić nie może.

Wiem jednak od samego H. Barelli, który mi dwa sztucery sporządził, że używa on do swoich sztucerów kal. 10.75 mm. dwojakich ładunków: jedne mają gilzę 45 mm. długości, kulę 18 gr. wagi i 1,7 gr. prochu bezdymnego „Troisdorfer", drugi zaś—w gilzie 52 mm., 1,8 gr. prochu i kula 22 gr. wagi. Pierwszy z tych ładunków o mniejszym cokolwiek naboju prochu, lecz znacznie lżejszej kuli posiada, według p. Barelli, lepsze własności balistyczne; zapewne znacznie lżejsza kula ma większą szybkość początkową. Fabryka Utendörffera w Norymberdze do niedawna wyrabiała te dwa tylko rodzaje ładunków kal. 10,75 mm. 9-milimetrowe ładunki tej fabryki (do sztucerów Barelli) zawierają rzeczywiście 2,5 gr. bezdymnego prochu, przy kuli 18 gr. wagi.

Zakwestyonowana została także przez p. Konczewskiego skuteczność strzałów ze sztucera 10,75 mm. wobec rezultatu polowania, opisanego przezemnie w Nr. 8-ym i 9-ym „Łowca Polskiego" z r. z. Wprawdzie, aż siedmiu kulami łoś był rażony, lecz tylko dwie pierwsze i zapewne ostatnią, która przebiła brzuch zwierza na wylot, można nazwać celnemi. Dwie pierwsze, trafione z tyłu, przebiły łosia przez całą długość i spłaszczyły się w klatce piersiowej w kształcie grzyba wielkości pięciorublowej monety. Łoś poległ po upływie 10 minut od pierwszych moich strzałów, przez cały ten czas pozostając w wodzie, co także mogło przedłużyć chwile agonii. Inne kule, otarłszy się zaledwie o skórę, poważniejszych uszkodzeń nie zrobiły. Strzelałem kulami 18 gramowemi i ładunkami prochu 1,7 grama. Ta obfitość kul — wina raczej strzelca, niż broni; mnie zaś tłómaczy niezwykłe moje stanowisko w bujającem się czółnie.

Nie ulega wątpliwości, iż rezultat byłby jeszcze mniej „świetny", gdybym zamiast sztucera Barelli, miał wówczas w ręku ów zachwalany ekspres 577 kal. Niezawodnie, po pierwszym już strzale albobym stracił łosia z oczu z powodu dymu, któryby mnie w tych warunkach na wązkiej rzeczce, wśród gąszczów leśnych, przy cichej pogodzie, chmurą otoczył, lub też wystrzał z takiej „kolubryny" przewróciłby wątły mój statek.

Najpewniej tak jedno, jak drugie zarazem byłoby moim udziałem i zakończeniem polowania.

Położyć zaś łosia od pierwszego strzału byłoby w tej pozycyi i ze znacznej odległości rzeczą zbyt trudną.

J. B.

Ładunki do nowych, niemieckich sztucerów kal. 10,75 mm., wyrabiane przez fabrykę Utendoerffera, zawierają nie 3 gr., lecz 1,8 gr. nowego, specyalnego gatunku sztucerowego, bezdymnego prochu, zupełnie podobnego do naszego „Sokoła". Z jakiej fabryki ten proch pochodzi — nie wiemy, nie znamy również początkowej szybkości kuli, nie mamy bowiem żadnych odnośnych danych balistycznych, po które zwracamy się do Instytutu w Halensee. Po otrzymaniu tych danych, opublikujemy je. Ładunki te (10,75 mm.) Utendoerffer początkowo dostarczał w gilzach długości 52 mm., ale zadużo było pustej przestrzeni w ładunku pomiędzy prochem a kulą, co ujemnie na strzał wpływało. Obecnie daje fabryka gilzę krótszą, długości 45 mm., kula pozostała długości 25 mm. wagi 22 i pół gr.

Pozostaje nam do zaznaczenia, że nietylko firma Barelli wyrabia nowe, 11 mm. sztucery; te kilkanaście sztuk, które my widzieliśmy w użyciu przez znanych naszych myśliwych, są wszystkie wyrobu puszkarza Heym'a w Suhl, a znając praktyczne rezultaty, osiągane z nich, podzielamy najzupełniej wywody sz. Pana o znacznej wyższości nowych tych sztucerów 11 mm. nad rzadko gdzie i dotychczas napotykanemi 10—11 funtowemi ekspresami kal. 577. Dla przeciwstawienia jakby ciężkiemu i nieporęcznemu ekspresowi kal. 577, nie wykracza nowy 11 mm.

sztućer 8-io funtowy ponad wagę zwyklej śrótówki 12 kal., do której tak przywykliśmy, — co również w użyciu nie jest bez znaczenia.

Redakcya.

Wycieczka po żubry dla Pilawina.

Już raz miałem sposobność w szpaltach „Łowca Polskiego" zdawać sprawę o mej wycieczce na Sybir po egzotyczną zwierzynę dla Pilawina, dziś pozwalam sobie podzielić się z czytelnikami „Łowca Polskiego" dopiero co odczutemi wrażeniami z nowej wycieczki, mniej odległej, ale niemal równie interesującej, t. j. po żubry do puszczy Białowieskiej.

W sam dzień wigilii Bożego Narodzenia otrzymałem depeszę od mego pryncypała, Józefa hr. Potockiego, że Najjaśniejszy Pan Cesarz Mikołaj II. raczył darować mu trzy sztuki żywych żubrów z puszczy Białowieskiej dla zwierzyńca Pilawin.

Nie od rzeczy będzie tu dodać, że dotąd na kontynencie europejskim istnieją tylko dwie osoby, którym podobny podarek przypadł w udziale, t. j. ks. Pless, któremu jeszcze Cesarz Aleksander II w szóstym dziesiątku lat zeszłego wieku, kilka sztuk żubrów podarował, a z nich dzisiaj liczne stado w lasach księstwa Pszczyńskiego się wyhodowało, oraz właściciel dóbr na półwyspie Krymskim, p. Falzfein, któremu obecnie panujący Cesarz, Mikołaj II, również parę żubrów podarował. W Anglii posiada nadto dwa żubry ks. Bedford, właściciel słynnego zwierzyńca w Woburn Abbey, i na tem koniec.

W dzikim stanie znajdują się żubry, prócz puszczy Białowieskiej, w niektórych najdzikszych okolicach górskich Kaukazu, oraz, jak mi mówiono, koło Carskiego Sioła, pod Petersburgiem, gdzie je w rewirach Cesarskich od kilkudziesięciu lat w na pół dzikim stanie zaaklimatyzować się starano.

Lecz wracam do mej wycieczki.

W dniu 22 stycznia otrzymałem z Antonin przez telefon, łączący me Nadleśnictwo, o 150 kilometrów od Antonin odległe, z rezydencyą właściciela, który właśnie wówczas był tamże zapadł na ciężką chorobę, szkarlatynę*), — rozkaz udania się do Białowieży, gdzie wskutek polecenia ministeryum Dworu z Petersburga, było naznaczone na dzień 29 stycznia łowienie żubrów, przeznaczonych dla Pilawina.

Udałem się natychmiast w drogę, zabierając z sobą dwóch gajowych, na Równo, Brześć i Bielsk do stacyi Białowieża, gdzie znalazłem uprzejmą gościnność w domu Kancelaryi Zarządu Dóbr Cesarskich.

Sama miejscowość, Białowieża, to mała, ale schludna i porządnie zabudowana osada, złożona przeważnie z urzędników Zarządu Dóbr i Łowiectwa Cesarskiego, nad którą dominuje myśliwski pałac Cesarski w angielskim stylu Elżbietańskim, wzniesiony przez Aleksandra III nad rzeką Narewką; naokoło niego znajduje się piękny park, a w oddali rysuje się ciemny pierścień olbrzymiej puszczy, zawierającej około 200,000 morgów przestrzeni. Na czele Zarządu Dóbr Koronnych stoi Rzeczywisty Radca Stanu, p. Kołokolcew, głównym zaś łowczym jest p. Neverle, Czech rodem, który mnie wziął po swoją opiekę i z którym udałem się powozem pod doskonałej szosie, przerzynającej całą puszczę, do uroczyska, zwanego „Zwierzyniec", gdzie nazajutrz łowienie żubrów odbyć się miało. Po drodze podziwiałem piękny drzewostan w puszczy, złożony przeważnie z sosny, świerka, dęba i jesiona; niektóre sztuki, szczególnie dębów, wprost zdumiewają ogromem wysokości i objętości; widziałem też liczne stadka sarn i jeleni.

Główna część dnia i wieczór cały zeszły mi na interesującej rozmowie z panem Neverle, który już od lat 33 stoi na czele łowiectwa w puszczy Białowieskiej i niejeden ciekawy szczegół z dziedziny leśnictwa i hodowli zwierzyny mi opowiedział.

Hodowla grubego zwierza staje się w puszczy coraz trudniejszą; liczne osady w niej porozrzucane, coraz gęściej się rozszerzają, do nich należą żyzne łąki i poletka nad brzegami rzeki Narwi i Narewki. Zwierz ograniczony w naturalnych bogactwach paszy, wymaga coraz większej opieki człowieka i sztucznej karmy, zaś poletka, zakładane w celach karmowych w głębi lasu, z powodu ubogiej gleby, nie wydają dostatecznej ilości kulturalnej paszy; szczególnie skarżył się p. Neverle na rok bieżący, w którym z powodu ogólnej posuchy, brak paszy był tak wielki, że łąkowe siano dla zwierzyny aż z gub. czernihowskiej sprowadzać musiano.

Zamiast starych, rzadko już gdzie istniejących drzewostanów dębów i sosen, rzucił się świerk, stanowiący zbyt gęste i ciemne podszycie, pod którym naturalna trawa z trudnością tylko wyrasta. Dodać należy, że zwierzostan jest ogromny, żubrów około 700, jeleni liczą do 3.000, łosi bardzo wiele, nadto danieli i sarn bez liku, a dzików około 2,500 sztuk. Zima ubiegła dała się żubrom we znaki, sporo ich odpadło wskutek zarazy, zaszczepionej rzekomo przez bydło włościańskie, w puszczy się pasące.

Sama puszcza utrzymana jest bardzo starannie, wszędzie drogi podjazdowe doskonale, obsiane darnią dla uniknięcia kurzawy, przez błota, usypane groble, na rzekach przerzucane mosty, liczne paśniki i szopy dla karmy, widoczne po całym lesie, przy nich stale trzymają się sarny, jelenie i pojedyncze sztuki żubrów. Jako karm, zadaje się siano łąkowe dla żubrów z przymieszką marchwi i koniczyny, jelenie dostają faszyny liściane i marchew, a dziki — owies i kartofle.

Przed wieloma wiekami, gdy Jagiełło ciągnął pod Grünwald ze 100,000 armią i zaprowiantowywał ją soloną dziczyzną z puszczy Białowieskiej, inaczej się tu działo! Wówczas osad nie było wcale, lub mało, wielkie obszary łąk i pól należały do puszczy, zwierza była moc olbrzymia i nikt nie myślał o sztucznej karmie lub hodowli; mówią nawet, że w XV wieku znajdowały się tu wielkie stada dzikich koni, znanych i poszukiwanych ze swej siły i wytrwałości, ale to są dane historyczne, mniej więcej znane ogółowi czytelników polskich i przechodzące zakres niniejszej notatki.

Po tych kilku słowach ogólnego opisu zwierzostanu i jego hodowli, powracam do właściwej treści niniejszego opisu, t. j. do sposobu łowienia żubrów, naznaczonego na drugi dzień pobytu w Białowieży, t. j. na 29 stycznia.

Ranek był ponury i chmurny, przy 6° mrozu; wkrótce gęsty śnieg począł prószyć, gdy wybraliśmy się do puszczy. Wszelkie rozkazy były wydane we wilię, obstalowani ludzie, podwody, klatki i t. p. Pan Neverle objął komendę nad wyprawą, której towarzyszyło liczne grono pań i panienek z rodzin urzędników dworskich z mało niebezpieczną bronią aparatów fotograficznych. Na pierwszych sankach jechał p. Neverle ze mną, za nami reszta towarzystwa.

Z bijącem sercem i emocyą, dzielącą się między myśliwym a wykonawcą zaszczytnego dla mnie mandatu, poleconego mi przez właściciela Pilawina, wjechałem do puszczy. Zaledwie o parę wiorst od osady zoczyłem pierwsze dzikie żubry. Było ich stadko, złożone z siedmiu sztuk wyrośniętych; groźnie potrząsając potężnemi łbami, spoglądały ku sankom i niechętnie a powoli zeszły z drogi w głąb ciemnej kniei.

*) Z zadowoleniem podzielić się możemy z naszymi czytelnikami wiadomością, że hr. Józef Potocki powrócił już do zdrowia po przebyciu szkarlatyny, która wogóle miała przebieg łagodny. (*Przyp. Red.*)

Wspaniały widok tego istnego monarchy puszczy, nie da się oddać w opisie, ani nawet w ilustracyi, jeno serce myśliwskie całą piękność i majestat jego odczuć jest w stanie.

Łowienie rozpoczęło się pod okiem i komendą p. Neverle w sposób nadzwyczaj prosty i racyonalny. W wilię już pewna ilość żubrów, przynęconych karmą, zamkniętą została w niewielkiem stosunkowo ogrodzeniu z grubych dyli i słupów dębowych, z którego wiódł wązki kurytarz, również z dyli dębowych, do mniejszej koszarki, a z tej wyjście znowu zakończała klatka z drzwiczkami, łatwo dającemi się na umówiony znak zamknąć, czyli zasunąć. Żubry przepędzano powoli z większego zamknięcia, do mniejszej koszarki, zkąd wąskim kurytarzem, w którym się obrócić nie mogły, dostawały się do klatki i jeżeli sztuka była jedna z przeznaczonych do złowienia, zatrzask się zamykał i żubr był schwytany; jeżeli zaś sztuka do łowienia się nie kwalifikowała, wychodziła poprostu przez otwarte drzwi klatki na wolność. Naturalnie, że po schwytaniu jednej sztuki podstawiano nową klatkę. Żubr, schwytany w wązkiej klatce, z początku rzuca się, bije, szamocze, targa i zda się, że klatkę rozwali, wkrótce jednak męczy się, z sił opada i stoi nieruchomy, ściśnięty dylami klatki, które go ze wszech stron otaczają.

W ten sposób, w krótkim stosunkowo czasie złowiono dla nas trzy piękne i wyrośnięte sztuki, lat sześciu i siedmiu, jednego byka i dwie krowy, z których jedna jakoby ma być cielną, co daj Boże. Klatki z trzema żubrami ustawiono na specyalnie w tym celu przygotowane podwody i tegoż samego dnia, pod konwojem dziesięciu ludzi dla każdej sztuki, odstawiono je do stacyi kolei żelaznej, gdzie stanęły około godz. 7 wieczorem. Ja zaś pojechałem jeszcze z panem Neverle do jego domu na przekąskę i podziękowawszy mu za łaskawą pomoc, trudy i gościnność, tegoż dnia dotarłem do stacyi Białowieża, gdzie załatwiwszy formalności kolejowe, wysłałem żubry frachtem pospiesznym do stacyi Sławuta, jako najbliżej od Pilawina położonej. Spędziwszy noc tę jeszcze w Białowieży, nazajutrz wyjechałem i d. 31 stycznia rano razem z żubrami stanąłem w Sławucie.

Tu na mnie oczekiwały własne podwody na saniach i pilawińscy ludzie i gajowi; po uciążliwej i nużącej drodze, po wyślizganej sannie, stanęliśmy d. 2 lutego w Pilawinie u celu naszej podróży i u końca mej wyprawy.

Żubry natychmiast puszczone zostały na wolność w obrębie Pilawina. Z początku widać było, że im nogi wskutek długiego stania w klatkach, stężały, ale szybko odzyskały swobodę ruchów i wzięły się nawet do karmy, w licznych paśnikach rozrzuconej.

Telefonicznie zawiadomiłem ciężko jeszcze chorego w Antoninach hr. Józefa Potockiego, o pomyślnem zakończeniu mej wycieczki; daj Boże, aby on do zdrowia szybko powrócił i w swym uroczym Pilawinie mógł niebawem oglądać w gronie innej egzotycznej zwierzyny te pyszne i królewskie iście zwierzęta, których nabytek dla Pilawina stanowi cenne i wyjątkowe w łowieckim świecie naszym zdarzenie.

Wspomnę tu jeszcze tylko, że gdy żubry wypuszczano na wolność w Pilawinie, pasło się właśnie opodal stadko jeleni amerykańskich, Wapiti, które, ujrzawszy niewidziane dotąd zjawisko nowych gości, jak wściekłe rzuciły się do ucieczki; żubry, przyzwyczajone w puszczy do jeleni, szukają ich towarzystwa, jelenie nasze natomiast panicznie się ich boją i od nich stronią.

W Puszczy od kilku lat robiono próby aklimatyzacyi renifera, jelenia wapiti, marala, muflona i syberskiego pygargusa, nawet bizona amerykańskiego, lecz żadne z nich się nie udawały; mojem zdaniem, obszar olbrzymi jest za wielki, aby puszczonych w nim parę lub kilka sztuk egzotycznej zwierzyny mogły się ostać i wychować bez specyalnej ku temu opieki i ścisłego dozoru.

Mam w Bogu nadzieję, że pod opieką św. Huberta, w Pilawinie lepiej się nam powiedzie i że za lat kilka roić się będzie w tym uroczym kawałku lasu od pysznych okazów wspaniałego zwierza rozmaitego gatunku, jakiego chyba nigdzie indziej w Europie żaden zwierzyniec nie posiada.

Romuald Sokalski.

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

W polowaniu piechotą nic pomoże ani pewna ręka, ani zimna krew; w zgarbionej postawie, zasłaniając oczy od kolczastych krzaków, jest się w gąszczu lub trawie niemal bezbronnym i na krok się przed sobą nie widzi, podczas gdy przyczajony tygrys słyszy zbliżającego się człowieka i nim tenże do strzału się złoży, już na nim siedzi i człowiek ginie w jego łapie, jak mysz w kocich pazurkach. Na słoniu inna sprawa: po pierwsze słoń opatrzony przez naturę znakomitym węchem, zwietrzy tygrysa o dziesięć kroków i myśliwemu trąbą go wskaże, po drugie, gdyby tygrys na słonia się rzucił, co się zresztą dość często trafia, nigdy prawie nie doskoczy do galeryjki, w której się siedzi i myśliwy ma czas i możność go dostrzelić. Inne za to niebezpieczeństwo grozi w polowaniu ze słonia, mianowicie, jeżeli tenże niezupełnie wytresowany, przestraszy się tygrysa i poniesie, co ma być straszniejszem od wszystkiego, gdyż pędzi wówczas ślepo przed siebie i roztrzaskuje głowę jeźdźców o pierwszy konar lub pień wznoszącego się po drodze drzewa. Tygrysie polowanie, to szeroki temat dla myśliwego, dużo się o tem w Indyach słyszy i tomy o tym przedmiocie możnaby spisać; Anglicy też tomy o tem wydają. Opisy te są znakomitemi podręcznikami dla amatora, który do Indyj w myśliwskich celach się udaje, pozwalam sobie do nich ciekawych odesłać, my zaś wróćmy do naszego tygrysa.

Doszliśmy po śladzie do małej rzeczułki. Nad brzegiem szeroka plama farby na kamieniu, widocznie zatrzymał się tu dłużej i wodę pił, może nawet w wodzie się tarzał, gdyż z drugiej strony farby nie widać. Wtem nowy alarm: jeden z obławników na drzewie siedzący, krzyczy przed nami, że widzi tygrysa, drapiącego się na przeciwległy skalisty pagórek, o kroków może 350. Uniesieni wzruszeniem, popełniliśmy tu wielki błąd, zamiast dalej trzymać się tropu, puściliśmy się na przełaj we wskazanym przez człowieka kierunku, lecz czy Hindus źle widział, czy my nie mogliśmy odszukać miejsca, lecz farby ani dopatrzeć. Wróciliśmy potem do rzeczki, starając się trzymać tropu, od rzeczki jednak jak nożem uciął, farby coraz mniej, wreszcie znikła kompletnie. Tymczasem słońce poczęło się zniżać, chcąc nie chcąc musieliśmy od dalszego szukania odstąpić i do obozu powracać. Sześć godzin byliśmy w ciągłym ruchu, na skwarze piekielnym. Nigdy podobnego zmęczenia, jak dnia tego, nie czułem. Wysłaliśmy tegoż wieczora gońca do Goony, by natychmiast słonia nam wyprawiono.

17 marca. Raniutko byliśmy już w miejscu, gdzie ostatni raz wczoraj farbę widziano, lecz nie

szło nam jakoś. Ludzie byli jakby niechętni, sam Mahmud opieszale prowadził, powtarzając ciągle, że musi być taki losu wyrok i fatum, że go nie dostaniemy. Znaleźliśmy wprawdzie o kilkaset kroków dalej parę kropel zaschłej farby, lecz na tem koniec. Przeszukaliśmy okoliczne pagórki, knieje i gąszcze — tygrysa ani śladu! Co prawda szukanie to nie odbywa się zbyt gruntownie; omija się najgęstsze miejsca, wertepy i jaskinie, ludzie formalnie się boją; nie pomogły ani bakszysze, ani obietnice wielkich nagród, z niczem powróciliśmy do domu. Pod wieczór słoń z Goony przyciągnął: stary Ramdullah, 80 lat liczący, ma być wytrawnym myśliwskim słoniem, chociaż nieco wolny. Jutro z jego pomocą dalej mamy szukać. Grant i ja wzięliśmy sobie do serca tego tygrysa; postanowiliśmy odnaleźć go i nie opuszczać placu, dopóki wszelkich sposobów nie wyczerpiemy. Nie ulega wątpliwości, że tygrys ciężko ranny: świadczy o tem, prócz farby, okoliczność, że zaległ pierwszy raz niedalej dwustu kroków od miejsca strzału. Z tego, co Stefan mówi, kulę powinien mieć w przodzie, może nisko w łopatce.

18 marca. Dalszy ciąg wczorajszych poszukiwań, z tą tylko różnicą, że dzisiaj na słoniu jedziemy. Grant i ja w „howda", czyli wieżyczce na jego grzbiecie przypiętej, krajowy szikari z tyłu, by nam drogę wskazywać, naturalnie prócz tego kornak, który na głowie siedzi i słoniem kieruje. Systematycznie, krok za krokiem przeszukujemy każdy gąszcz, każdy wertep w okolicznych kniejach i wzgórkach. Rozpaczliwe nic — tygrys jakby w wodę wpadł.

Mam za to sposobność pierwszy raz na myśliwskim słoniu jadąc, podziwiać jego zręczność i rozum, ludzki niemal spryt, gdy w gąszczu toruje drogę dla siebie i wysokiej na nim „howdy". Drzewa i grube konary łamie, albo trąbą je skręcając, albo gdy drzewo zbyt grube, opiera się o nie czołem i w ten sposób druzgocze je jak zapałkę, lub też nakoniec nogą je do ziemi przygniata. Wspinając się na strome pagórki i urwiste skały, ostrożnie naprzód nogą próbuje. Jeźdźcy nieraz dziwaczne pozycye na grzbiecie jego przybierać muszą, a rzucani to w tył, to naprzód, do sztuki ekwilibrystycznej się uciekają, aby z howdy nie wylecieć.

W południe odpoczęliśmy nieco, by dać folgę słoniowi i sobie, wtem jeden z żołnierzy, którzy opodal rezultatu naszych poszukiwań mieli oczekiwać, przybiegł z oznajmieniem, że przypadkiem spostrzegł na drodze parę kropel farby zaschłej, lecz świeższej, niż z pierwszego dnia, gdy tygrys był strzelony. Pospieszyliśmy w to miejsce, rzeczywiście, parę kropel farby czerniało na kamieniu. Lecz co dalej? dokąd dalej poszedł? Naprożno kilku nas, koła zakreślając, każdy kamyczek, każdą niemal trawkę obejrzało, nie było sposobu więcej farby odnaleźć. Dżungla tu otwarta jak step niemal, w oddali o paręset kroków czerniał gąszczyk niewielki, jakby klomb krzaków mimozy i jaśminu. Należało i tam poszukać, wsiadłszy więc na słonia, zwróciliśmy go w to miejsce. Zaledwo stary Ramdullah wlazł w krzaki, wydał krzykliwy, śmiesznie cienki, jak na takiego kolosa, głos — „słoń przemówił" — jak mówią Anglicy. Porwaliśmy się do sztućców, Ramdullah parę kroków się posunął, lecz jakby niechętnie i nerwowo kroczył, trąbę zwinąwszy w kółko i do góry ją podciągnąwszy — wszystko oznaki nieomylne, że tygrysa wietrzy. Mieliśmy chwilę straszliwej emocyi, gdy słoń nagle trąbę spuścił, wyprężył i przed siebie wskazał, gdzie pod krzakiem mimozy, trawa była zbita, jakby jaki zwierz wielki tam był leżał. Zauważyliśmy sobie to miejsce i dalej cały gąszczyk przetratowali. Ramdullah ciągle dawał oznaki niepokoju, lecz tygrysa już nie było. Powróciliśmy nazad do miejsca, gdzie trawa była zbitą i tu zsiedliśmy ze słonia, by dokładnie miejsce obejrzeć. Kałuża ciemnej, zaschniętej farby i sporo rudych włosów na kolczastych liściach mimomozy, wskazywały jasno, że ranny tygrys tu leżał: farba z wierzchu zaschnięta, z pod spodu była jeszcze wilgotną, musiał tu albo noc przebyć, albo może do samego południa przeleżał i nie więcej jak parę godzin przed naszem przybyciem ruszył. Naokoło nigdzie farby niebyło, rana musiała zaschnąć, farby więcej nie puszczając. Gdzie dalej się podział — niewiadomo: mógł gdziebądź w trawie zalegnąć lub wyzdrowieć i wynieść się zupełnie. Zapadający zmrok zmusił nas do odwrotu, powracaliśmy nie bez nadziei i otuchy, że odnalazłszy szczęśliwym trafem nowy ślad zwierza, jutro może na niego samego trafimy.

(C. d. n.)

POLOWANIE w TURCYI EUROPEJSKIEJ
i krajach sąsiednich.

Przez

Adama Czajkowskiego.

Z rosyjskiego.

(Ciąg dalszy).

Liczba trzy wogóle ma wielkie znaczenie u kozaków-niekrasowców. Kiedy np. mają odwieźć depeszę albo spełnić jakie inne ważne polecenie, zawsze wyruszają w drogę we trzech. To prawidło także pomieszczone jest w zasadniczej ustawie, w której powiedziano: „jeden może zbiedz, dwóch może zmówić się na zdradę, trzech nigdy".

Do czasów obecnych kozacy święcie wypełniają wszystkie przykazania i nauki, zalecone im przez założyciela sekty, a tyczące się życia w czasie pokoju i postępowania podczas wojny. Na wszystkich drogach, prowadzących do ich wiosek, w odległości około pięciuset kroków od ogrodzenia, wystawioną bywa na czterech wysokich słupach platforma, zwana „czardak"; służy ona za punkt obserwacyjny i na niej, tak dniem, jak i w nocy, bezustannie znajduje się strażnik, dający baczenie na wszystko, co się dzieje w okolicy. Jeżeli tylko zauważy ze swego wzniesionego stanowiska, że wilk, spuściwszy się z gór Olimpu, przekrada się przez pole, albo, że czerkies wypatruje zdobyczy, natychmiast daje znać o tem dwóm swoim towarzyszom, gotowym na dole na każde wezwanie i mającym bezustannie osiodłane konie. Po niedługiej chwili oddział kozaków wyrusza ze wsi, zapędza i zabija wilka, albo też wybaduje czerkiesa i w razie wątpliwości, jeżeli można podejrzewać złe zamiary, wypędza go z kozackiego terytoryum. To też podług zdania sąsiednich mieszkańców, wilki i zbóje zdaleka omijają ziemie kozackie. Rzeczywiście, między kozakami a sąsiednimi kolonistami, czerkiesami, dochodziło często do krwawych bijatyk, gdyż czerkiesi nie mogli się pozbyć wrodzonej im żyłki do rozbojów i grabieży. To też w końcu zmuszeni byli przesiedlić się do innego okręgu, gdzie mogli używać większej swobody.

W Dobrudży istnieją jeszcze sarny, ale w małej ilości. Można je znaleźć tylko w części górzystej i lesistej, a mianowicie niedaleko miasta Babadog, na oddzielnej grupie niewysokich gór, pokrytej niegdyś wielkiemi, dębowemi lasami. W czasie ostatnich lat panowania tureckiego, lasy te były niemiłosiernie trzebione przez cudzoziemskich przemysłowców, a to z powodu bliskiego położenia od Dunaju i jego łatwo dostępnych ujść. Wyspa Leti, znajdująca się w samej delcie Dunaju, była także porośnięta wysokim i gęstym lasem i na niej też spotkać jeszcze można sarny. Istnieje tu nawet szczególna rasa wcale nie-

złych psów gończych, sprowadzonych z Rumunii i przeznaczona specyalnie do polowania na sarny.

Tak w Dobrudży, jak i na Bałkanach, gdzie sarny rozmnażają się jeszcze w wielkiej ilości, polują na nie przeważnie w zimie, kiedy miękki, puszysty i głęboki śnieg ułatwia zabijanie ich nawet pałkami. Rozumie się, że podobne mordowanie nie ma nic wspólnego z prawdziwem polowaniem i dokonywane bywa nie w celach myśliwskich, lecz czysto spekulacyjnych, gdyż sarny są bardzo poszukiwane przez handlarzy, odsyłających je następnie do wielkich miast, nawet aż do Konstantynopola. Do tego miasta największa ilość sarn dostawianą jest z Bałkanów, przez Warnę i Burgos, a cena ich w Konstantynopolu dochodzi zaledwie 30 do 50 piastrów, czyli 6 do 10 franków.

Na Bałkanach także rzadko polują prawidłowo na sarny, to jest, strzelając je przed psami gończemi. Zwykle miejscowi myśliwi wynajdują ścieżki, po których sarny chodzą do wody lub na pastwisko, włażą na niewysokie drzewa, zajmując stanowisko pod wiatr i strzelają do przechodzących. Jeżeli zaś polują z gończemi, co trafia się nierównie rzadziej, nie strzelają do sarn biegnących, lecz dopuściwszy na bliską metę, straszą gwizdnięciem lub szczególnego rodzaju niegłośnym wykrzykiem, od którego sarna zatrzymuje się na parę sekund i wtedy dopiero biją na pewniaka.

O ile Dobrudża biedną jest w sarny, o tyle bogatą w dziki. Te ostatnie żyją tu w oczeretach, pokrywających brzegi Dunaju i wyspy w delcie rzeki, gdzie ukrywają się w gęstych i niepodobnych do przejścia zaroślach. Oczerety dochodzą tu do takiej wysokości, że w nich może się ukryć jeździec na koniu, zalegają dziesiątki wiorst kwadratowych, poprzegradzane gdzieniegdzie krzakami i zaroślami. Wpośród tych olbrzymich obszarów oczeretu, spotyka się tu i owdzie duże przestrzenie czystych łąk i uprawne pola na wyższych miejscach, a na nich dostrzega się sterczące nad powierzchnią, kominy wkopanych w ziemię mieszkań. Takie podziemne domostwa urządzane bywają na miejscach najwyższych i mających spadek na wszyskie strony, a tem samem bezpiecznych od zalania, czy to w czasie wylewu rzeki, czy od topniejących śniegów. Mieszkają tam zwykle samotni kozacy pojedyńczo, czasem z rodziną, a czasem grono kilku kozaków, używających tu zupełnej swobody i bezpieczeństwa i nieskrępowanych nadzorem władz.

(C. d. n.)

Gawędy starego myśliwego.

VII.

Skoro rozpoczęliśmy gawędzić o polowaniach na dziki, polowaniach, pełnych silniejszych wrażeń, bądź to wesołych, bądź to dramatycznych, a nawet nieraz wrażeń, wywołanych bardzo smutnemi wypadkami, pragnąłbym w dalszym ciągu opowiadać braciom myśliwym jeszcze niektóre zdarzenia z owemi dzikami, jakich albo sam doświadczyłem, albo naocznym byłem świadkiem. A na dziki polowało się dawniej bardzo często bądź to z psami, bądź też z naganką, bo jeszcze niezbyt dawne to czasy, kiedy w całym kraju było dzików mnóstwo, a wielkie ich stada spotykały się nietylko w niewielkich przestrzeniach leśnych, ale nawet obierały sobie stałe, dłuższe siedliska zdala od lasów, bo wśród większych zasiewów żyta lub pszenicy, gdzie do czasu żniwa znajdowały wygodne i bezpieczne schronienie.

Wybór tego rodzaju siedlisk wyrządzał wprawdzie właścicielowi zasiewów niemałe szkody, bo nieraz kilkomorgowe przestrzenie tych zasiewów stawały się ofiarą żarłoczności i wygodnych legowisk dzików; z drugiej jednak strony nietylko sam ten wybór, ale wprowadzenie go w wykonanie przedstawiały jeszcze jeden dowód więcej, że zwierzęta, a w szczególności dziki, kierują się nietylko instynktem, ale i rozumem, że doskonale naprzód obmyślają, co zamierzają uczynić, że swym sprytem i rozumem potrafią nawet uśpić lub zwalczyć spryt i rozum człowieka. Do środka bowiem zasiewów, a temwięcej większych ich przestrzeni, nikt z ludzi przez miesięcy kilka zwykle nie wchodzi; ażeby zaś nie pozostawić za sobą śladów z zewnątrz, które łatwo zauważyćby się dały, dziki wchodzą do środka zbóż i wychodzą z nich do wody w nocy i w tym celu obierają sobie jakąś wygodniejszą bróżdę lub przegon i nie wchodzą nigdy inaczej, jak gęsiego, jeden za drugim, przesuwają się ową bróżdą lub przegonem z największą ostrożnością, ażeby zboża nie stratować i najmniejszych śladów po sobie nie pozostawić, któreby siedzibę ich zdradzić mogły, i w ten sposób właściciel ani mógł się domyśleć, że w jego zasiewach i przez czas dłuższy gospodarowały dziki.

W tych czasach, obfitujących w dziki, gospodarowały one prawie corocznie i u mnie, często niemałe wyrządzały mi szkody i jeżeli, jako myśliwy, szkody te znosiłem bez żalu, to jednakże przebaczyć sobie nieraz nie mogłem, że o bytności na moich polach dzików dowiadywałem się poniewczasie i pozwoliłem im pola te opuścić bezkarnie.

Pewnego razu, podczas dokonywającego się sprzętu zbóż, wyszedłem w pole i chociaż było to w końcu lipca, a więc w czasie niedozwolonym na polowanie na kuropatwy i zające, miałem przy sobie, jak zwykle, nabitą dubeltówkę śrótem grubszym, w przewidywaniu spotkania z włóczącemi się na polach psami lub kotami.

Skierowałem się ku większemu łanowi pszenicy, żęciem której ze strony przeciwnej zajętych było kilkudziesięciu robotników. Że zaś obejście łanu tego naokoło znacznie przedłużało mi drogę, a miałem zamiar dojść do żeńców, więc wszedłem w pierwszy, napotkany przegon. Przegonem tym przeszedłem kilkaset kroków wśród bujnego i silnie zwartego zboża, kiedy naraz spostrzegłem przed sobą o kilkanaście kroków znaczną przestrzeń jakby pustego pola. Przypomniały mi się dziki, pochwyciłem za dubeltówkę, zbliżyłem się ostrożnie do pustego miejsca, kiedy naraz zakotłowało się przedemną, a z kwikiem, chrząkaniem i prawie z pod samych moich nóg poskoczyło kilkanaście sztuk różnej wielkości dzików. Zaskoczone niespodzianie, pomknęły z miejsca w różnych kierunkach, z przestrachu otoczyły mnie wokoło na kroków kilka, ze względu więc na słabe naboje w broni, miałem możność wybrać sztuki mniejsze i dwa spore już warchlaki zabiłem. Zabite sztuki kosztowały mnie wprawdzie dość drogo, bo jakieś kilkaset prętów doskonałej pszenicy znalazłem przez dziki zupełnie zniszczonych.

Chcąc się przekonać, którędy wchodziły dziki do obranego przez nie koczowiska w środku pola, na którem przebywały widocznie przez czas dłuższy, obszedłem naokoło cały łan pszenicy i nigdzie najmniejszego śladu obranej przez nie drogi, nie znalazłem. Prawdopodobnie za wejście do środka zboża służył im ten sam przegon, którym i ja szedłem, ale drogę tę przebywały jakby z taktyczną karnością i ostrożnością, ażeby przez uszkodzenie zboża bytności swojej nie zdradzić.

Człowiek nie potrafiłby być przezorniejszy i więcej ostrożny.

Wśród prześlicznej zimowej pogody, bo w dniu słonecznym i przy kilku stopniach mrozu, polowaliśmy w liczniejszem kółku myśliwskiem u brata mego,

w majątku położonym nad Dnieprem i na krańcu gubernii mińskiej.

Obszerne lasy tego majątku, bo wówczas kilkadziesiąt tysięcy morgów obszaru mające, pełne były większego, dzikiego zwierza, jak łosie, dziki, sarny i wilki, a łącząc się z lasami innych, sąsiednich majątków, stanowiły razem prawdziwą, wielką puszczę, w której myśliwy mimowolnie zwracał się myślą aż do owych dawnych i wielkich wypraw rycersko myśliwskich, dokonywanych przez naszych praojców, i pod wrażeniem tych wspomnień podwójnej w polowaniu doznawał rozkoszy.

Polowanie dnia tego wiodło się dobrze. Padły już, oprócz drobniejszej zwierzyny, trzy łosie, dwa wilki i kilkanaście sztuk sarn i kozłów, kiedy przed samym już wieczorem doniesiono mojemu bratu, że w niewielkiej przestrzeni zarośli, położonych nad Dnieprem, zatrzymało się duże stado dzików.

Słońce już zachodziło, ale zapowiadała się prześliczna noc księżycowa, przy cudnym blasku pokrywającego ziemię, niewielkiego śniegu, postanowiliśmy więc spotkać się jeszcze z owemi dzikami, które w kilku poprzednich miotach zdołały wymknąć się nam bez strzału.

Rozstawiliśmy się na górze nad brzegiem lasu, a przed nami roztaczały się obszerne nadbrzeżne łąki i pastwiska, przeplatane sporemi kępami zarośli, z których w jednej znajdowały się dziki.

Obok mnie, z jednej strony, o jakieś sto kroków stanął miejscowy doktór, niedawno tu osiadły, a który przedstawił się nam, jako wielki i doświadczony już miłośnik myślistwa.

Na wskazanem mu stanowisku doktór ów poruszył się kilkakrotnie to w jedną, to w drugą stronę, jakby czegoś szukał, znalazł nareszcie jakiś większy pień po ściętem drzewie i na tym pniu stanął.

Na dany sygnał trąbką ruszyła nareszcie naganka, odezwały się grzechotki i głosy ludzkie, padło wśród naganki kilka strzałów ślepemi nabojami dla szybszego spłoszenia zwierza i jednocześnie spostrzegliśmy ogromne, bo z kilkudziesięciu sztuk złożone stado dzików, które biegło w jedną lub drugą stronę, zatrzymywało się przez chwilę, usiłowało przedrzeć się przez nagankę lub przemknąć się bokiem, co wszystko rozkoszny dla myśliwych, i przy blasku księżyca dziwnie cudny przedstawiało widok; nareszcie całe stado, naparte przez nagankę, zaczęło wspinać się pod górę i skierowało się prosto na doktora.

Doktór poruszył się kilkakrotnie, jakby dla wzmocnienia uda do pewniejszego strzału, i kiedy całe stado zbliżało się do niego na jakieś dziesięć kroków, poślizgnął się, jak później utrzymywał, runął z pieńka na ziemię, a przygotowana do strzału broń jego wystrzeliła w górę. Wystrzał ten i upadek doktora przeraził zbliżające się dziki, zmieszały się w jedną kupę, następnie rozbiegły się w różnych kierunkach, a kilka z nich skierowało się wprost na stanowisko strzelającego i przez leżącego na ziemi doktora przeskoczyło. Bliżej stojąc, poskoczyliśmy ku niemu z obawą, czy nie został silniej zraniony, bo przez chwilę leżał na ziemi nieruchomie. Zanim dobiegliśmy do niego, doktór zaczął podnosić się wolno. Znaleźliśmy go bladym i przerażonym, ale, na szczęście, skończyło się wszystko na lekkiem tylko skaleczeniu policzka, prawdopodobnie kopytem jednego z dzików, który przez doktora przeskoczył.

Z rozbiegłych dzików zabito wówczas cztery sztuki, a wypadek z doktorem dał powód do tych licznych i długotrwałych żartów, rodzących się tylko w kółkach prawdziwych myśliwych — żartów, pełnych humoru i wielce nieraz dowcipnych, ale nie obrażających nikogo.

Czy nasz doktór nie stracił po tym wypadku zamiłowania do polowania na dziki, nie wiemy. Mam prawo jednakże sądzić, że ani on sam w przyszłości zabezpieczenia się przed dzikami szukać na pieńku nie będzie, ani też nikt z prawdziwych naszych myśliwych do sposobu tego uciekać się nie zechce.

Odwaga i zimna krew w niebezpieczeństwie, to najpewniejszy i godny nas środek ratunku, i jeżeli odwagi młodzieży naszej nigdy, jak sądzę, nie zabraknie, to jednakże niech się uczy łączyć tę odwagę z krwią zimną, ażeby ją jeszcze więcej utrwalić i jeszcze lepiej spożytkować.

L. Łaszcz.

Szczepienie ochronne przeciw nosaciznie u psów.

W Anglii, a częściowo także w Niemczech od kilku lat zaczęto stosować szczepienie ochronne nosacizny u psów. O wartości tego szczepienia zdania rzeczoznawców są podzielone. Nie brakło głosów, które materyę, do szczepienia, wynalezioną przez d-ra Physalix'a, uznali za nadzwyczaj skuteczną, podczas gdy inni weterynarze byli odmiennego zdania, np. Havatson, który w r. 1902 szczepił 47 psom, dotkniętym nosacizną w wysokim stopniu, lecz nie osiągnął tym środkiem zadawalniającej ochrony; zawsze jednak przypisywał mu pewien skutek.

W celu ostatecznego zbadania metody szczepienia d-ra Physalix'a, wyznaczono komisyę, składającą się ze znanych weterynarzy angielskich, którzy we wrześniowym numerze *Journal of Comparative Pathology and Therapeutics* podali wynik swych badań. Podług ich zdania, uważany przez d-ra Physalix'a za bodziec nosacizny, grzybek dziurkowaty, jest tylko okolicznościowo i przypadkiem występującą u chorych na nosaciznę psów, istotą żywą, przyczyna zaś zarazy jest jeszcze nieznana, a materya do szczepienia, spreparowana przez d-ra Physalix'a, zupełnie nieskuteczna.

Wynalazca zatem dzieli los wszystkich swych poprzedników, którzy odkryli podobne specyficzne środki przeciw nosaciznie. Na nieznany dotychczas bakcyl nosacizny, nie posiadamy jeszcze skutecznego środka leczniczego lub zapobiegawczego. Natomiast podczas przebiegu choroby można jej doskonale przeciwdziałać przez użycie medykamentów i środków dyetycznych, wywierających wpływ zbawienny, można także ją ograniczyć, posiłkując się środkami dezynfekcyjnemi i wstrzymującemi rozwój choroby. Wybór lekarstw musi być za każdym razem trafnie zastosowany, a skuteczniej będzie obchodzić się przy nosaciźnie zupełnie bez lekarstw, aniżeli używać środków lekarskich, których zastosowanie w wielu razach i w pewnym czasie szkodzić może choremu zwierzęciu. Bardzo trzeba się wystrzegać środków „sekretnych“.

A oto przyczyna, dla ktorej wiele t. zw. środków przeciw nosaciznie wywołało taką różnicę zdań, a bezwartościowość tych środków czasami poznaje się dopiero po najszczegółowszych doświadczeniach. Mnóstwo chorób zaraźliwych ujawnia się z rozmaitym stopniem siły rozwoju, czasami przebieg choroby jest cięższy, a niekiedy objawy jej są lekkie, jednej zarazie podlega dużo, drugiej mniej chorych. Tak jest naprzykład przy zarazie pyska i racic u zwierząt przeżuwających i u świń, lub przy odrze i szkarlatynie u ludzi. Również nosacizna u psów zalicza się do tych chorób. Jeżeli występuje w lżejszej formie, to, o ile nie znamy dokładnie przebiegu zarazy, łatwo dochodzimy do mylnego sądu, że zastosowanie jakiegoś środka dobry skutek wywarło na pacyenta. Podobnie ważne znaczenie dla przebiegu choroby ma budowa ciała i dobre utrzymanie psów.

Silne, na swobodzie wyrosłe i utrzymywane zwierzęta, są na nosaciznę często tak mało wrażliwe, że ona przechodzi u nich bardzo lekko, albo zupełnie

niespostrzeżona. Takie psy, mimo niewłaściwego leczenia, nie zapadają na nosacizne zbyt ciężko. Przebywanie w czystem, niezbyt zimnem powietrzu, łatwo strawne, smaczne pożywienie i usuwanie szkodliwych wpływów, działa często na przebieg choroby tak dodatnio, że łatwo zupełnie mylnie przypisujemy lekki przebieg choroby różnym bezwartościowym lekarstwom niepotrzebnie użytym.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 1 marca. P. gubernator kielecki nadesłał wykaz broni, odebranej kłusownikom. Wykaz ten obejmuje 291 sztuk broni palnej myśliwskiej. Postanowiono wysłać na nagrody dla straży ziemskiej w tej guberni 150 rb.

P. Bronisław Wysocki przedstawił do nagrody dwóch strażników ziemskich: Wołeczka, który odebrał 8, i Chwedeczuka, który odebrał 13 broni kłusownikom. Rada postanowiła dać pierwszemu 20, a drugiemu 10 rb., albowiem pierwszy jest starszym strażnikiem i kierował czynnościami drugiego, wydając mu stosowne polecenia.

Posiedzenie Rady, 8 marca. P. gubernator siedlecki nadesłał wykaz odebranej broni za 1904 r. Wykaz obejmuje przeszło 400 sztuk. Postanowiono wysłać do guberni na nagrody dla straży 200 rb.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 27 lutego. Ponieważ tegoroczne polowanie na Warszewicach w pierwszym terminie nie mogło się odbyć z powodu nagłej zmiany pogody, przeto uczestnikom owego polowania należy się zwrot części składek. Otóż po obliczeniu ostatecznem kosztów, poniesionych przez Wydział na owo niedoszłe do skutku polowanie, uczestnikom przypada do zwrotu po 4 rb. 10 kop.

Postanowiono zadzierżawić Ostry Bór na lat 6, jako główne tokowisko cietrzewi na dzierżawach Osieckich.

Dla zaokrąglenia terenu Miedzyńskiego i zabezpieczenia granic od kłusownictwa, postanowiono zadzierżawić wieś Lipki, graniczące z Miedzną.

Kronika Myśliwska.

Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki.

W d. 22, 23, 25 i 26 stycznia u hr. Władysława Młodeckiego w dobrach Koszowata kijowskiej gub. odbyło się polowania w 8 strzelb, zabito 185 zajęcy 4 kozły i jednego lisa. Razem 190 sztuk na 559 strzałów. Nadmienić należy, iż pogoda w czasie polowania wcale nam nie sprzyjała, gdyż z powodu odwilży większość zajęcy wyszła w pole.

W ciągu zeszłego sezonu 1904/5 r. zabito: 191 zajęcy, 4 słonki, 14 kszyków, 143 przepiórki, 5 kuropatw, 6 chróścieli, 3 kaczki, 2 łyski, 4 kozły, 1 kunę, 4 borsuki, 2 łasice, 1 tchórza, 32 jastrzębie, 63 wrony, 74 sroki, 11 psów, 4 koty, 2 lisy. Ogółem 565 sztuk.

Wykazy Myśliwskie.

Wykaz ubitej zwierzyny na polach Ordynacyi Łańcuckiej w 1904 r.

Pożytecznej:		Szkodników:	
Kurek	5	Lisów	81
Rogaczy	66	Psów	298
Zajęcy	1481	Kotów	483
Bażantów	3660	Łasic	270
Kuropatw	839	Tchórzy	106
Przepiórek	165	Kun	6
Chróścieli	11	Borsuków	6
Słonek	1	Bocianów	83
Kszyków	5	Jastrzębi	113
Dubeltów	1	Krogulców	201
Krzyżówek	818	Orłów	1
Cyranek	14	Kruków	5
Gołębi	2	Wron, srok	2183
Razem	7068	Razem	3836

Ogółem strzelono zwierzyny sztuk 10904.

(„Łowiec“). *Wł. Lewicki.*

W roku ubiegłym padło w majątku Białaczew hr. Zygmunta Platera, następująca ilość zwierzyny:

Pożytecznej:		Szkodników:	
Jeleni	26	Lisów	21
Dzików	2	Kun	2
Rogaczy	11	Tchórzy	5
Zajęcy	1245	Łasic	81
Królików	184	Borsuk	1
Bażantów	101	Kotów	37
Cietrzewi	23	Psów	76
Kuropatw	377	Jastrzębi	59
Kaczek	27	Wron	1021
Różnych	12	Srok	79
		Czapli	4
Razem	2018	Różnych	53
		Razem	1439

Ogółem sztuk 3457.

Wskutek bardzo intensywnego tępienia drapieży, ilość ubitej szlachetnej zwierzyny potroiła się. Widoki na rok obecny doskonałe.

Drobiazgi myśliwskie.

Zwiastuny wiosny. Przelot wiosenny ptaków już się na dobre rozpoczął. W okolicach Warszawy obserwowano pierwsze skowronki w d. 18 lutego. Gęsi pojawiły się w ostatnich dniach lutego. Pierwszego gołębia, siniaka, zauważono w pierwszych dniach lutego. Wreszcie czajki widziano pod Ursynowem w d. 10 marca.

Parkoty zajęcy zauważono w gub. kijowskiej już w d. 24 stycznia.

Postrzelenie kłusownika. We wsi Szmiczyce, gm. Górki, w pow. łaskim, leśny, Ignacy Stachorski, spotkał w lesie kłusownika, Józefa Teleszyka, który, przyłapany na gorącym uczynku, chciał strzelić do leśnego. Leśny uprzedził go i wystrzałem z dubeltówki, raniąc, obezwładnił.

Zwierzyna na zapusty. Jak bardzo rozpowszechnione było dawniej w Polsce używanie wszelakiej zwie-

rzyny na pokarm, dowodzi z czasów Zygmuntowskich pozostała pieśń zapustna, której wyjątek przytaczamy:

Mięsopusty, zapusty —
Nie chce państwo kapusty:
Wolą sarny, jelenie
I żubrowe pieczenie.
Mięsopusty, zapusty —
Nie chcą panie kapusty:
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.
A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu w malmazyją
I tak sobie podpiją.

Statystyka myśliwska. Statystyczne wykazy ministeryum rolnictwa w Austryi z powodu nowego rozporządzenia będą odtąd opracowywane ze szczególnym pośpiechem. Tymczasem mamy wykaz ubitej zwierzyny w 1901 r. (Liczby, znajdujące się w nawiasach, oznaczają wykaz zwierzyny w roku poprzednim 1900-ym).

Ubito zatem zwierzyny użytecznej: Jeleni i danieli sztuk 22,581 (19,578), sarn 101,546 (97,246), dzikich kóz (gemz) 8,957 (9,155), dzików 3,441 (3,625), zajęcy 1,314,495 (1,202,914), królików 114,551 (80,130), świstaków 797 (776), głuszców 6,691 (6723), kuropatw 1,222,457 (1,092,847), jarząbków i pardw 4,808 (5,281), przepiórek 63,793 (55,719), słonek 20,133 (21,730), bekasów 14,178 (13,078), dzikich gęsi 1,473 (1668), dzikich kaczek 65,081 (62,684).

Szkodników: Niedźwiedzi (w Krainie, Tyrolu, Galicyi i Bukowinie) 35 (36), wilków (w Krainie, Galicyi i Bukowinie) 85 (84), rysiów (nad brzegiem morza, w Galicyi i Bukowinie) 43 (48), kotów dzikich 28 (30), lisów 93,150 (38,546), borsuków 5,109 (5,164), wydr 1,183 (1,260), kun 17,175 (16548), tchórzów 31,863 (31,940), łasic 49,763 (49,841), wiewiórek 171,948 (147,043), orłów 609 (1,709), puhaczy 81 (79), jastrzębi sokołów i krogulców 105,406 (105,302), srok i wron 415,334 (353,316).

20 niedźwiedzi. Z Wologdy, miasta gubernialnego w Cesarstwie, donosi p. Neumann do „Weidmann'a", że w przeciągu ośmiu dni, od 16 do 24 stycznia r. b., ubił tam 6 dużych niedźwiedzi, a 2 małe schwytał żywcem.

Z Petersburga zaś piszą do gazety „Weidwerk", że mieszkaniec tamtejszy, dr. N. C. Corpus, w przeciągu 10 dni, od d. 21 do 31 stycznia, ubił 12 niedźwiedzi, które ważyły od 6½ puda do 14 pudów; 8 z nich padło podczas naganki, pozostałe zaś 4 zabił dr. C. w barłogach. Niezwykły ten rozkład został sfotografowany przez p. Printza w Petersburgu. Fotografia przedstawia 12 leżących bestyj, w pośrodku których ustawił się zdobywca tych trofeów.

Wystawa rogów w Pradze. Tegoroczna wystawa rogów trwała od 11 do 13 lutego w Pradze. Dopuszczone były rogi jeleni, danieli i kozłów, meldowane przez właścicieli polowań i myśliwych wogóle, a ubite w roku 1901 w wolnych kniejach, lub w zwierzyńcach w Czechach. Za najlepsze trofea każdego gatunku zwierzyny początkowo wyznaczono pięć medali, ale liczbę ich powiększono po obfitem obesłaniu wystawy. Prócz tego przeznaczono „listy pochwalne" podług orzeczenia *jury*.

Upadek handlu kością słoniową. Gdy Lord Kitchener zdobył z powrotem Sudan i zaprowadził porządek w niespokojnych okręgach tamtejszych, mniemano powszechnie, że wzmoże się przywóz kości słoniowej z prowincyj podzwrotnikowych, który był w ostatnich czasach bardzo zaniedbany. Początkowo przywożono faktycznie ogromnie dużo, lecz zapomniano przytem, że się nagromadziły również wielkie ilości, których nie przepuszczano podczas okrutnych rządów derwiszów. Ale to prędko się wyczerpało. Obecnie zaś ustał przywóz do tego stopnia, że trzeba sobie powiedzieć, iż jeżeli zapotrzebowanie kości słoniowej pozostanie tak wielkiem, jak dotychczas, to już po upływie lat kilku nastąpi znaczne ograniczenie zapasów. Ceny poszły już w ostatnich latach ogromnie w górę. Przeszło 54 funtów szterlingów żądano niedawno w Liwerpoolu za lepsze gatunki. Fabrykanci nożów w Sheffieldzie podnieśli o cztery szylingi cenę na noże i widelce w oprawie z kości słoniowej. Rzeczoznawcy jednak są zdania, że to jeszcze nic nie jest w porównaniu z tem, co dalej nastąpić musi, i że to napewno jest nieuniknione, ponieważ aż trzy przyczyny na to się składają. Przedewszystkiem w Ameryce wzmógł się ogromnie popyt na kość słoniową, którą często nabywają już wtedy, gdy ona dopiero rośnie. Następnie wszędzie w ostatnich czasach w Afryce wydano surowe prawa dla ochrony słoni, a praw tych przestrzega się ze szczególną surowością. Po trzecie teraz nie jest już wcale łatwo znaleźć w lasach dziewiczych kły słonia, ponieważ tam już gruntownie zbadano wszelkie miejscowości, gdzie można te kły zdobywać.

Hodowla strusiów. Hodowlę strusiów zaprowadzili u siebie amerykanie. Okazało się, że warunki klimatyczne Kalifornii odpowiadają tym, w jakich struś żyje w Afryce, i po wielu nieudanych próbach hodowcy kalifornijscy zdołali nareszcie dojść do tego, że dostarczają znacznej części piór strusich na potrzeby Stanów Zjednoczonych. W Kalifornii południowej istnieje siedm czy ośm ferm strusich, które dostarczają rocznie piór ogólnej wartości 10,000 dol. Dla założenia podobnej fermy potrzebny jest dosyć znaczny kapitał,—około 15,000 do 20,000 dol. Oficyaliści pobierają stosunkowo duże pensye, albowiem hodowla strusiów wymaga zręcznych pracowników i nie jest zbyt bezpieczna. Strusie często biją nadzorców swoich łapami, i to tak silnie, że niejednemu już złamały nogę. Najcenniejsze pióra posiada samiec u spodu skrzydeł; za jedno takie pióro płaci się niekiedy po 50 dol. Wogóle z jednorazowego oskubywania strusia zyskują pióra wartości 100 dol. Para dobrych strusiów warta 1,000 dol.

Antoni Chassepot, wynalazca karabina odtylcowego, przezwanego jego nazwiskiem, zmarł w Gagny, pod Wersalem, przeżywszy lat 70. Pierwsze próby z karabinem odtylcowym swojego systemu rozpoczął Chassepot już w r. 1858, dopiero jednak po wykazaniu wielkich zalet przez iglicówki pruskie podczas wojny prusko-austryackiej, przez dekret cesarza Napoleona, ogłoszony w d. 30 sierpnia 1866 r., karabiny Chassepota wprowadzono w armii francuskiej. W r. 1868 cała armia francuska już była w karabiny te zaopatrzona. W r. 1874 szaspot ustąpił miejsca karabinowi Grassa.

Cesarz Wilhelm II, jako myśliwy. Gazeta „Der deutsche Jäger" przyniosła w jednym z ostatnich numerów wiadomość następującą: „Upodobanie cesarza do zbytkownych polowań o większym zakroju, jak donoszą z Hanoweru, osłabło znacznie w ostatnich czasach. Powód do tego przypuszczenia dała okoliczność, że znowu zaniechano polowania dworskiego w parku dla dzików „Springe". Członkowie świty cesarskiej zapewniali także podobno, iż cesarz nie daje wielkich łowów dworskich. Polowanie w Letzlingu również się nie odbyło tego roku. Cesarz woli polować sam jeden lub w towarzystwie kilku zaproszonych panów: znajduje on szczególną przyjemność w takiem spokojnem polowaniu, jak to wykazały niedawno polowania w rewirach wschodnio-pruskich. Wnioskować można z tej wiadomości, że i u cesarza zaszła ta zmiana, która ujawnia się u wszystkich prawdziwych myśliwych, że strzelanina hurtowna z czasem traci dla nich powab, a tylko zwyczajne uprawianie myślistwa może rzeczywiście zadowolić namiętnych myśliwych. Mówimy o tego rodzaju polowaniach, w których myśliwy jest zależnym od własnej zręczności, siły i biegłości, wybiera zaś najszlachetniejsze sztuki za przedmiot swego działania. Po hekatombach ubitej zwierzyny zmiana taka jest zupełnie zrozumiała".

Kogut za 1,600 rubli. Na wystawie ptactwa, urządzonej w pałacu Aleksandry, w Londynie, sprzedano

wspaniały okaz koguta rasy „Wyandotte“, który otrzymał pierwszą nagrodę, a oprócz tego odznaczenie specyalne,—za 165 funtów szterlingów.

Zabarwianie sztuczne zwierząt. Zjawisko to obserwować można na kurach białych, które, gdy je karmić będziemy białym pieprzem, przyjmują zabarwienie jasno-czerwone, mające tę szczególną własność, że jest hygrometryczne, czyli czułe na wilgoć, i stosownie do ilości pary wodnej, nagromadzonej w atmosferze, przechodzi stopniowo od blado-różowego do ciemnego fioletu. Kura taka, zmieniająca barwę swego upierzenia, jest zarazem żywym barometrem. Na wyspach Malajskich jest zwyczaj, że w porze pewnych uroczystości spożywają orangutanga. Otóż takiego ofiarnego zwierza karmią przez pewien czas znanym gatunkiem marzanny (*Rubia tinctoria*), wskutek czego kości zwierzęcia, zabarwiają się na kolor jaskrawo-czerwony, jak tego kult wymaga.

Plaga królików i polowanie na nie w Londynie. Zabawną historyę opowiadają o parku Richmond, który jest jednym z najpiękniejszych parków w zachodnim Londynie. Od niejakiego czasu, tak się tam okropnie rozmnożyły króliki, że musiano im w końcu wypowiedzieć wojnę. W tym celu ogłoszono w gazetach angielskich, że można uzyskać pozwolenie tępienia królików we wspomnianym parku. Następstwem tego było, że mnóstwo myśliwych niedzielnych w najrozmaitszych kostyumach, którzy byli uzbrojeni po uszy i w towarzystwie psów przeróżnych ras,— meldowało się w zarządzie parku, gdyż sądzili, że pozwolą im polować dowoli w parku. Tutaj jednak ich poinformowano, że bardzo źle zrozumieli ogłoszenie, ponieważ polowanie na króliki będzie dozwolone tylko z łasicami lub z sieciami. Zresztą wyjaśniono im, że nie potrzebują się więcej fatygować, gdyż rzecz tę oddano pewnej wielkiej firmie, która zapłaciła znaczną sumę za to chwytanie królików. Po kilku dniach rozpoczęła też ta firma działalność; przedsiębrano liczne przygotowania, z poważną liczbą pomocników urządzono wyprawę, a gdy wieczorem obliczono rezultat, czyli sprawdzono rozkład, okazało się, że złapano wszystkiego trzy marne króliki, wartości szylinga.

Znawca kur. — Po czem poznać „starą“ kurę?
— Po zębach!—panie psorze.
— Co ty pleciesz! alboż to kura ma zęby.
— Ale ja mam.. —panie psorze!..

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. (C. d.).

Gąsior.

1. Kto chce wygrać gąsiora, musi zażyć korzora.
2. Idzie naprzód, jak gąsior.
3. Krzyczy, by gąsior na wiosnę.

Gęś.

1. Gęga, jak gęś niejaka.
2. Bodaj cię gęś kopła zadnią nogą.
3. Dobra gęś, dobre i prosię.
4. Trzy gęsi i dwie niewieście uczyniły bałas (jarmark) w mieście.
5. Gęsi wszędzie boso chodzą.
6. Gęś wyskubią, rwąc po piórku.
7. Gęś za gęsią.
8. Gęś żeby nie szła do wody, a chłop do szkody, nieznano na świecie.
9. Głodna gąska wody, kiedy po niej pływa.
10. I biedna gęś syka.
11. Idź, idź, daj gąsiom siana (odczep się).
12. I gąska niejraz na lodzie pośliźnie się.
13. Jak z gęsi woda, opadło z niego.
14. Lepsze nasze gęsi, niż cudze łabędzie.
15. Nie masz lepszej zwierzyny, jako nasza gąska: dobre pierze, dobry puch, nie gań mi i mięska.
16. Ona nie z tych gęsi, co dziobem drzwi otwierają.
17. Płowe gęsi, zielone psy, pięć krów za grosz — rzeczy niepodobne.
18. Poleciała gęś za morze z nadzieją tęgą, a nazad powróciła gęgą.
19. Skoro się gąsię z jaja wydłubie, zieloną trawę zarazem skubie.
20. Syta gęś o dwie mile do wody trafi. (C. d. n.).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu S. Wyczerpującą odpowiedź na swoje pytanie znajdzie Szanowny Pan w „Kalendarzu Myśliwskim“ z r. 1903, w artykule W. Stępbana p. t. „Remizy“.

Treść Nr. 6 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1905 г.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.